№ 46. Warszawa, dnia 30 Października (11 Listopada) 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. J. Kraszewskiego.

Wszyscy, którzy znali bliżej pana Narcyza Borusławskiego oddawali mu sprawiedliwość, że był najzacniejszym w świecie człowiekiem, ale zarazem niektórzy mówili że był nieznośnym. Polegać na nim mógł każdy jak na Zawiszy — mało kto wszakże potrafił się z nim spoufalić i zyskać przyjaźń jego. Trudnym był wielce w obejściu z ludźmi, chociaż nie uchybiał nigdy nikomu, nadzwyczaj był grzeczny, ale zimny i zamknięty na podziw. Długiego czasu potrzebował nim do kogo przystał.

Żył też w bardzo małem kółku przyjaciół — a ci których miał byli mu zupełnie oddani.

Mówiono powszechnie, iż smutne doświadczenia z młodych lat takim go uczyniły. W istocie wiadomem było iż rodziców miał bardzo bogatych, wziął po nich majętności ziemskie znaczne, które nie wiedzieć jakim sposobem stracił. Nie miał naówczas nad lat dwadzieścia kilka, kiedy go prawie całkowita ruina spotkała i znalazł się sam jeden wśród szerokiego świata bez przyszłości, bez zasobów i bez przyjaciół, bo ci co mu do zmarnotrawienia majątku pomogli, rozpierzchli się jak od zapowietrzonego.

Szczęściem za życia rodziców jeszcze, z woli ojca chodził na wydział prawny i otrzymał nawet stopień doktora U. J. Gdy mu ten jeden tylko tytuł został, przybył z nim do Warszawy, udał się do sławnego naówczas Mecenasa Z., odbył u niego kilkoletnią praktykę kancelaryjną, oddawszy się całkiem pracy, i jako prawnik potem otworzył własne biuro.

W przeciągu lat tych kilku pobytu w Warszawie, zarobił sobie postępowaniem niezmiernie bacznem, pracą i rozsądkiem na taką wziętość i poszanowanie, że gdy się później samoistnie urządził, na swoją rękę podejmując interesa, nigdy mu ich nie zabrakło. Miał ich prawie za wiele, tak że zaledwie mógł im wydołać.

Z dosyć wesołego i płochego młodzieńca, w którego ręku stopniało parę milijonów złotych, stał się człowiekiem wytrawnym, zimnym, milczącym, oszczędnym, i — domyślano się że musiał dojść do znacznego majątku — lecz żył nawykłszy już do tego bardzo skromnie. Dla siebie równie jak dla swej kancelaryi, niezmiernie był surowym, wymagał wiele — ale z ojcowską pieczołowitością dbał też o młodzież, którą miał u siebie.

W zajęciach prawniczych postarzał zwolna mecenas Borusławski. Chciano go nie raz ożenić, bardzo nawet ładne i dosyć majętne panienki, a więcej jeszcze rodzice wielu panien starali się o niego; ale do ożenienia najmniejszej ochoty nie miał, a od kobiet unikał.

Nic nie równało pracowitości tego człowieka, który w potrzebie i noc całą nad papierami umiał przesłęczyć, zaspokajał głód jak najprostszą strawą, bodaj kawałkiem chleba i szklanką wody; ubierał się niepokaźnie, chodził pieszo, innej zabawy nie znał nad czasem jaką godzinę strawioną nad szachami w cukierni na Miodowej ulicy, do której na czarną kawę chodził.

Zwykle milczący był tak, że się słowa od niego dopytać było trudno, w dysputę żadną nie wdał się nigdy, znajomości nowych raczej unikał niż szukał, i z tego powodu zyskał nazwanie — dziczka i oryginała.

Zdala nawet poznać w nim było łatwo postać już skamieniałą i jakby wykutą tak, jak do śmierci miała pozostać. Nosił suknie zawsze jednej barwy i kroju, czarne lub szare, na wyłysiałej głowie bez pretensyi nałożoną rudawą peruczkę, okulary stalowe, rękawiczki szare dające się prać — i kapelusz, rzadko zmieniany na nowy. Twarz cała wygolona, mogła być niegdyś piękną, teraz w zastygłych jej rysach, z których życie uciekło gdzieś do głębi, widać tylko było energiję panującą nad człowiekiem. Czasem mu jeszcze ciemne oczy błysnęły resztką ognia, ale usta zacięte jeśli się otworzyły, to na słowo nieodzownie potrzebne, krótkie i obrachowane.

Ci co go znali najlepiej, przyznawali iż go nie znali wcale.

Do tego wnętrza w którego głębi kryje się właściwy człowiek, nikt nigdy nie ścignął wzrokiem.

Kancelarya Mecenasa od pierwszego roku znajdowała się zawsze w tym samym domu, gdzie ją niegdyś na drugiem piętrze otworzył. Zwiększyła się klijentella, papierów przybyło, dobrano dwa pokoje, ale Borusławski został w dawnem mieszkaniu. Pomocnik JMPan Zakulski, młody chłopak aplikant Łomaka, i stary sługa, jeszcze pono ze wsi pan Maciej, dobrze już włóczący nogami, składali całe gospodarstwo. Kancelarya i biuro zajmowała trzy pokoje z przedpokojem i sionką, jeden pokoik przy niej zamieszkiwał Zakulski; sam Borusławski miał dwa licho i ubogo urządzone, a Maciej z kuferkami i całym zasobem, mieścił się w dwóch ciupkach od tyłu.

Wszystko to, choć czysto niby wyglądało, było w najwyższym stopniu skromnie i łatano. Ani nowego sprzętu, ani żadnej rzeczy ku ozdobie służącej, nikt tu nie zobaczył. Maciej czuwał nad tem, ażeby wszystko trwało jak można najdłużej. Szczotka, którą zamiatano zużyta niemal aż do drzewa... świadczyła o tej oszczędności.

Była ona tu praktykowaną jako cnota, sama dla siebie, gdyż pan Borusławski familji blizkiej nie miał — i celu w takim skąpstwie widomego. Mogło się zdawać tym co zasłyszeli o historyi jego młodości, iż sobie zadał pokutę, za jej grzechy.

O godzinie ósmej Mecenas był już w kancelaryi lub pokoju w którym przyjmował klijentów, śniadanie sobie przynosić kazał z lichej garkuchni obok, wracał po niem do roboty, siedział do objadu, a po krótkiem wypoczynku przychodził jeszcze na parę godzin do kancelaryi, po której zamknięciu dopiero, przechadzał się lub grał partyę w szachy.

Życie płynęło tak regularnie, tak jednostajnie, iż gdy nadeszły święta, które nadwerężały porządek, pan Borusławski nie wiedział co robić z sobą. Najczęściej choć kancelarya była zamknięta, a Zakulski i Łomaka używali świeżego powietrza, Mecenas się grzebał w papierach. U niewielu osób bywał, i był to w ogóle gość niezabawny, milczący, nie dający się niczem ożywić, wnoszący z sobą jakby chłód jakiś, który go owiewał. Szanowano go, ale się razem obawiano.

Pokój w którym się odbywały konferencye z klijentami — był nadzwyczaj niewykwintnie urządzony. W pośrodku stół zielonem suknem okryty, z tem co potrzeba do pisania—kanapa czarnym włosieniem wybita, takichże sześć krzeseł, fotel, dwie szafy z książkami i zegar niepoczesny... firanki zapylone, obicie szare i okopciałe, czyniły go nad wyraz wszelki wyraz smutnym.

Ci co tu wchodzili, mogli mieć przedsmak wrażeń, jakie każdy proces i procedura z sobą niesie. Dodawszy na tle takiem postać szanownego gospodarza, surową, wystygłą i onieśmielającą — nie trzeba się było dziwić, że każdy ztąd wynosił tęskne jakieś przeczucia. A było w charakterze Mecenasa, że klijentów, wprawdzie nie zastraszając — nigdy im nie czynił zbytnie świetnych nadziei. Wskazywał trudności, odkrywał wątpliwości—obiecywał mało. Mimo to sprawy, których się podejmował, gdyż były i takie, których podjąć się nie ofiarował — wszystkie niemal szły szczęśliwie. Słynny był z tego iż żadnej prawie nie przegrał. Nadzwyczaj bystro sięgał do dna każdego interesu, umiał z gmatwaniny dobyć jądro jego i przedstawić jasno. Wzywanym też bywał często i do porady, gdy zawikłaną sprawę należało rozplątać i uprościć.

O godzinie jedenastej rano pan Borusławski siedział sam jeden, nad kilką foljantami jakiemiś, robiąc wypisy i notatki, gdy Maciej wszedł powoli i oznajmił pana Filipowicza.

Mecenas spojrzał na zegar, i kazał prosić.

Przybyły, który śmiejąc się uradowany z siebie, szybko i popędliwie wbiegł do pokoju, był niemłodym już człowiekiem, niewielkiego wzrostu, z twarzą czerwoną, z oczyma niegdyś niebieskiemi, mocno zbladłemi, z bakenbardami rzadkiemi i rozproszonemi nieporządnie na policzkach. Brak zębów górnych na przodzie, czynił jego fizyognomiję mniej jeszcze znośną niż była, gdyby się z całym sprzętem zachowała. Czoło nizkie, cera niezdrowo rumiana, duże wystające pargaminowe uszy... wreszcie ruchy niezręczne, zbyt porywcze, czyniły go niemal śmiesznym.

Zdawał się ciągle czegoś spieszyć i niepokoić.

Gdy śmiejąc się wbiegł do stojącego jak słup Mecenasa i pochwycił go za ręce, coś bełkocząc niezrozumiale, gospodarz mu wskazał krzesło.

Filipowicz mając je tuż za sobą, nie dojrzał i pobiegł po drugie, potem zobaczywszy że je niósł niepotrzebnie, śmiać się zaczął głośno, nie wiedział na które się zdecydować i padł nareszcie na jedno z nich, nadzwyczaj uniżenie i pokornie pochylając się ku prawnikowi...

Jedna rękawiczka już leżała na ziemi, kapelusz przycisnął do piersi, a usta otwarte niepotrzebnie obnażały dziąsła pozbawione zębów, i śmiały się niewiedzieć z czego.

Przeciw tym ruchom gorączkowym, Mecenas stawił zrezygnowany chłód.

— Czem panu profesorowi służyć mogę? zapytał.

— Prawdziwie — zawołał Filipowicz — rzeczywiście — istotnie — jak się zowie — wiem jak drogi jest czas pana Mecenasa dobrodzieja, ale w poufnym, zupełnie poufnym interesie — i — jak się zowie, zdaje mi się najwyższej wagi, przychodzę.

Po tym wstępie, poprawiwszy rozwiane włosy, Filipowicz w ziemię się zapatrzył, widocznie szukał na podłodze tego od czegoby dalej miał snuć wątek...

Mecenas milczał, jedną ręką po stole coś wygrywając palcami, bo czas schodził marnie.

— Wiedząc jak drogi jest czas pana Mecenasa, jak się zowie — powtórzył Filipowicz — otóż, prosto przystępuję do rzeczy.

Chrząknął — nie szło.

— Otóż — jak się zowie — wiadomo najlepiej panu Mecenasowi szanownemu, z jaką zawsze nadzwyczajną, mogę powiedzieć, rodzicielską troskliwością, ja i moja żona czuwaliśmy nad powierzoną nam pupillą pańską, panną Teklą Sierocińską... otóż, jak się zowie... (tu się zatrzymał) tak przeszłych zapust, jak zwykle, moja żona, która dba o to, jak się zowie, aby panienki miały też w czasie wolnym od nauk i przyzwoitą rozrywkę, ażeby też i maniery nabierały — dała kilka wieczorków tańcujących. Nie przyszło to bez wydatków, ale słowo honoru Mecenasowi daję — jak się zowie — że my na to nie zważamy i chętnie się sakryfikujemy... Nie mogę też powiedzieć, ale pensya nasza, chcę mówić mojej żony, używa najlepszej reputacyi... Dość nadmienić, że dwie hrabianki, i to rzeczywiste mamy na wychowaniu — historyczne, panie dobrodzieju imiona, a reszta wszystko najlepszych familji, jak się zowie!

— Niech pan profesor będzie łaskaw, jak najtreściwiej — bo mało mam czasu — odezwał się Mecenas.

Filipowicz kapelusz przycisnął mocniej do piersi i cały się zatrząsł.

— Skracam, jak się zowię — ale niech mi Mecenas dozwolić raczy jasno się wyłuszczyć — to jest wytłomaczyć, czyli rzecz wyłożyć — jak się zowie.

Były tedy wieczorki — tańcowano. Co się tyczy męzkiego towarzystwa, rozumie się że na te zwrócona była baczność największa, najsurowsza, najostrzejsza. Młodzieńcy przypuszczeni, wszystko bracia lub kuzyni naszych pensyonarek, z pierwszych domów, chłopcy skromni, najpiękniej wychowani. Jeden z nich, jak się zowie pan Maksymilijan Rabsztyński, pięknej rodziny, mający siostry u nas... znajdował się na tych wieczorach, krótko mówiąc — zakochał się śmiertelnie w pannie Tekli.

To mówiąc głowę spuścił i ręce rozstawił Filipowicz, Mecenas się zmarszczył.

— Zmiłujże się pan, profesorze, przerwał — chociaż panna Tekla moja pupilla ma lat blizko dwudziestu... ale ten stosunek... na pensyi, zdaje mi się w najwyższym stopniu niewłaściwym... Państwo po prostu powinniście mu wzbronić przystępu...

Filipowicz zerwał się z krzesła i chwycił za rękę Mecenasa...

— Raczże posłuchać! jak się zowie — błagam, proszę, zaklinam... Moja żona, osoba najsurowszych zasad, jak to panu wiadomo, a niezmiernie bystrego wejrzenia, jak tylko coś dostrzegła, naturalnie... zamknęła drzwi, ale jakże? Rabsztyński ma dwie siostry na pensyi... Ile razy je odwiedzał, panna Tekla była konsygnowaną, słowo honoru — jak się zowie — konsygnowaną, niewolno jej było ani nosa pokazać — cóż z tego, siostry... stosunki utrzymywały.

Mecenas chciał coś powiedzieć, Filipowicz pochwycił go znowu za rękę i mówił dalej:

— Muszę tu dodać że Rabsztyński jest ze znacznej familji. Fiu! fiu! kolligacye ogromne... Majątek — no tego tam tak dobrze nie wiem — ale ma... wyszedł z opieki, samowładny czyli inaczej i lepiej mówiąc — sobą władny — albo raczej samoistny... bądź co bądź, jak się zowie... mówi że się chce żenić...

Tu się tryumfalnie rozśmiał, spojrzał na mecenasa, ten miał oczy spuszczone i głową kręcił. Już pan Borusławski usta otwierał, gdy Filipowicz jakby na to czekał tylko, pochwycił go za rękę i nie dając mówić, począł szybko:

— Za pozwoleniem Mecenasa — jedno słowo... Ot idzie — jak się zowie, iż pańskiej pupilli *origo*, pochodzenie, familija — ciemne są i zakryte... niewiadome...

— Tak — rzekł mecenas — a ja nie mam prawa wyjawiać tej tajemnicy, bo mi została powierzoną nie bez przyczyny — pod uroczystem zapewnieniem, iż jej bez zezwolenia — nie zdradzę.

Filipowicz gębą i brwiami poruszał, na krześle się rzucając i podrygując.

— Szanuję tajemnicę, szanuję, szanowaliśmy, jak panu Mecenasowi wiadomo... szanujemy, szanować będziemy... mówił profesor, lecz dla naszych pupilli mamy serce rodzicielskie. Trafia się partya nadzwyczajna.

Mecenas milczał, Filipowicz korzystając z tego, niezmiernie pospiesznie pędził dalej.

— Niepotrzeba nam tego mówić, panie Mecenasie dobrodzieju — mnie i mojej żonie, która ma tak bystre pojęcie jak rzadko — że panna Tekla niby to Sierocińska — musi być też pochodzenia wysokiego, nie wchodząc z jakiej ręki — jak się zowie... Widząc co na nią łożą, jak jest utrzymaną kosztownie... łatwo się tego domyśleć... nawet na pensyi powszechnie wszyscy ją zowią *księżniczką* i tak się to utarło...

— Ale to bardzo źle! przerwał Mecenas.

— A rozumie się iż tego moja żona nie pochwala i nie dopuszcza — ale koleżanki, guwernantki — to znowu trudno — jak się zowie — nosy mają... otóż...

Mecenas wstał nagle, znudzony paplaniną, obejrzał się na zegar, i z flegmą rzekł do Filipowicza:

— Prosiłbym profesora ażeby o żadnych amorach i projektach więcej mowy nie było... i żeby panny Tekli nie psuto dziwacznemi domysłami i przezwiskami. Do tych co mi ją powierzyli odniosę się — ale — uprzedzam — że być bardzo może iż będziemy musieli odebrać ją z pensyi.

Profesor już chwycił za rękę Mecenasa, ale ten mu nie dał mówić, i ciągnął dalej powoli.

— Pan to wiesz dobrze, iż dłużej zatrzymując na pensyi powierzoną mi pupillę, spełniłem wolę tych, co się jej losem zajmują. Życzyli oni sobie, aby się przysposobiła do stanu nauczycielskiego.

Filipowicz zaczął się śmiać głośno, kapelusz wdusił w piersi, głowę zarzucił na tył, nogę jedną podniósł do góry i krzął się a zwijał nie mogąc wstrzymać od tego śmiechu konwulsyjnego.

— Pan Mecenas mi daruje! Jak Boga kocham! jak się zowie — to są tylko blichtry... to są finesy... to są zaćmienia, albo rzekłbym parawany osłaniające niby prawdę... aby panience nie dać odgadnąć jej przyszłości! Finesy! finesy! sposobią na nauczycielkę, a sprawiają jej suknie atłasowe, salopy aksamitne... zegarki złote... i tym podobnie.

Borusławski ruszył ramionami.

— Jednem słowem — rzekł krótko — pannę Teklę odebrać będę zmuszony natychmiast, jeśli najmniejsza wzmianka...

— Mecenasie — krzyknął rzucając się i porywając go oburącz Filipowicz — tego nie uczynisz — tego nie zrobisz — dla żony mej, dla pensyi, dla mnie, nie! tego nie uczynisz! Nie zasłużyliśmy na to, nie mamy sobie nic do wyrzucenia... nic.

Palnął się mocno w piersi.

— Nic! czyści jesteśmy! Serca rodzicielskie... opieka dniem i nocą nieuśpiona!! Nic! ale zakochaniu się zapobiedz? jak? jak się zowie, jak? zakochać się może przez okno, w kościele, na ulicy! wszędzie! Elektryczność wzroku, magnetyzm serca. W tem nie ma przecie nic przeciw najsurowszym wymaganiom obyczajności, bo panna ciągle jest konsygnowana...

— O niczem wiedzieć nie chcę! odpowiedział Mecenas niecierpliwie — żegnam pana...

Filipowicz ściskał przestraszony...

— Mecenasie, dobrodzieju, szanowny — jak się zowie — nie gniewaj się zaklinam... Jeżelim przyszedł tu z tem... macierzyńska, że tak powiem troskliwość... ale nie ma nic — nie ma nic — panna konsygnowana... Słowo panu daję...

Maciej stojący w progu oznajmywał w tej chwili nowego klijenta, i pan profesor trąc łysinę, zżymając ramionami, sycząc, mrucząc, spuścił się ze wschodów.

(*d. c. n.*)

PRZESZŁOŚĆ

(z francuskiego).

Lubię, zmieniwszy klimat, niebo, kraje,
Jak ptak wędrowny, odlatując z latem
Z tęsknego lądu, gdy mi tchu nie staje,
Uciec na brzegi umajone kwiatem.

O! niech na zawsze wiatr mię z miejsc wywieje,
W których, mój drogi, przeżyłam wraz z tobą,
A które dzisiaj wszelkie me nadzieje
Zasiały gruzem, okryły żałobą!

Lubiłam kraj ten, chociaż blade słońce
Mglisty widnokrąg rzadko rozjaśniło;
Serc tylko naszych ognisko płonące,
Czarem miłości wszystko nam złociło!

Wraz z tobą znikły i uroki lśniące!
A pod jodłami, w nocy mgłach wilgotnych,
Wzlatuje lekko jak widmo niknące:
Cień dni szczęśliwych, nigdy niepowrotnych!

Ach! wszystko, wszystko, w tem pustkowiu dzikiem,
Wciąż uobecnia mi ów obraz miły!
Patrzy tym wzrokiem, mówi tym językiem,
Które mi niegdyś życie tu słodziły!

Teraz złamana, mogłażbym ochotnie
Tą samą ścieżką wlec się bolejąca?
Po której szło nas dwoje, dziś samotnie
Idę, szczęśliwa niegdyś, dziś płacząca!

TERAŹNIEJSZOŚĆ.

Tu u stóp skały me wzgórze kwieciste,
Mój dom, laurowe me drzewa,
Łąka zielona i morze srebrzyste,
Cały horyzont zalewa.

Gdym na ten cudny brzeg niegdyś przybyła,
Złamana w duszy i w życiu!
Bom naraz wszystko co drogie straciła,
Po najstraszliwszem rozbiciu!

Od owej chwili zgrozy, mnogie lata
Przemknęły przez to ustronie;
A tu po krzewach ciepłych wiatr przelata,
Roznosząc kwiatów ich wonie.

Jeśli w mem życiu nic nigdy kwiatami
Ciernistych dróg nie usłało,
Przynajmniej serce me stwardniałe łzami,
Na wieki już skamieniało!

I mogę w kraju wiosny, róż, zapachu,
W kraju wciąż strojnym odświętnie,
Marząc o czasach znikłych, bez przestrachu
Przeglądać świat obojętnie!

H. K.

POGADANKA.

Ze wszystkich dwunastu miesięcy roku, listopad, bodaj czy nie zasługuje na smutną nazwę *opłakanego*. Ileż bowiem łez oblało mogiły w święto umarłych, gdy każdy prawie przejęty wspomnieniem i żalem, dążył do miejsca zawierającego szczątki istoty niedawno może kochanej, a dziś przedzielonej od nas wiekiem trumny, i tą nieprzebitą, nieubłaganą tajemnicą, co przerywa wszelki z zaświatowym bytem stosunek... Łza i modlitwa tylko... wspomnienie i westchnienie, oto co możemy ofiarować tym co świat ten na zawsze opuścili... a myśl że oni doszli wyprzedzając nas do kresu gdzie dąży wszelkie ziemskie istnienie, jedyną dla tęskniących stanowi pociechę.

Nie mało łez wyciśnie spodziewany lada chwila mróz nie-dobrodziej... nie wszyscy czekają go z zapasem ciepłodajnego materyału, i wiele skostniałych rąk załamie się rozpacznie, gdy ten groźny zimy wysłannik zawita w progi mieszkania biedaków, gdy się rozwielmożni w głębi poddaszy i suteren....

O ile krzątanie się filantropów jest niewystarczające dla zapobieżenia najpierwszym nędzy potrzebom, objaśnia nas fakt, bardzo świeży, że wielu biedaków nie mających wcale mieszkania nocuje w wagonach kolei żelaznej.

W Londynie, w Paryżu, w Wiedniu, są domy dające schronienie na noc takim tułaczom: u nas istnieje zakład zwany *Przytulisko*, ale zakres jego działania inny. A jednak wartoby pomyśleć o tem...

Na brak ludzi dobrej woli narzekać przecie nie można. Oto piękny fakt przychodzi nam zaznaczyć: hr. Łubieński w dobrach swych pod Stopnicą zakłada szkółkę rolniczą dla włościan, jedną z najpotrzebniejszych dla podniesienia dobrobytu krajowego, boć im umiejętniej ogół uprawiać będzie swe pola tym więcej osiągnie owego chleba powszedniego, którego coraz to mniejsze kęsy dostają się rolnikom naszym w pocie czoła nań pracującym. Wprawdzie, zewsząd podnoszą się głosy: pracy! pracy nam potrzeba—kto żyw myśli i krząta się około niej, a nawet, jak powiada Kuryer Świąteczny, praca dziś stała się pewnym rodzajem mody szkodliwej, gdyż przy ograniczonej liczbie żądania, kobiety zamożne *bawiące się* w rzemiosło, zabierają prawdziwie potrzebującym jedyny sposób do utrzymania. Gdyby te *amatorki* zakładały warsztaty, magazyny, i rozszerzały zakres zarobku kobiecego, dając im nowe pole do osiągania plonów wspólnie z pracodawcą, zgoda! Ale pojedyncze ochotniczki, taka panna X. X. mimo rodzicielskiej fortuny, wyrabia i sprzedaje kwiaty, taka pani Y. co zajmuje posadę buchalterki, choć emerytura znaczna zaspakaja wszystkie życia potrzeby, w gospodarstwie społecznem są szczerbami, a jak w naszem szczelinami sączącemi łzy prawdziwej niedoli w pracy napróżno szukającej ocalenia. Nie tu ich miejsce! Społeczna gospodarka nie samych rąk potrzebuje ale i głów coby ją rozszerzyły, robiły mniej mozolną i kosztowną i plony z niej otrzymane wprowadziły na targi przedtem dla nich nieznane. Potrzebuje to zapewne właściwego usposobienia, przygotowania, do czego brakło i brakuje nam jeszcze wielu szczegółów, ale pocieszmy się.

Przed nami leży wykaz abonentów czytelni pana Jeleńskiego, która mówiąc nawiasem zasługuje na poparcie. Otóż z porównania liczby abonentów okazuje się, że czytających dzieła naukowej treści, mężczyzn było ośmdziesięciu trzech, a kobiet, *dziewięćdziesiąt cztery!* Przewaga głównie znaczna w dziełach przyrodniczych i historycznych — filozofija i ekonomija więcej miała męzkich zwolenników, ale za to belletrystyka, czytelniczek 233, czytelników 128. Niewielu za to korzysta z biblijoteki dziecinnej, bo ledwo 134 abonentów, a niepotrzebujemy powtarzać jak ważnym czynnikiem w wychowaniu jest dobra książka, rozwijająca pojęcie i wyobraźnię małego czytelnika. Ze zbliżającemi się zimowemi wieczorami, ruch czytelni niezawodnie się zwiększy, oby i liczba korzystających z niej wzmogła się w odpowiednim stosunku.

* * *

Czy lubicie kontrasta, a mówiąc poprawniej przeciwieństwa? Jeśli tak, to raczcie przeczytać sprawozdanie naszych czasopism o „Dworakach niedoli“ komedyi pana Sarneckiego. Szczerze wyznać trzeba, że nic bardziej nie może utwierdzić w przekonaniu o rozmaitości ludzkich sądów jak te doraźne oceny krytyczne Warszawskich zoilów. Co ten chwali, ów gani; tu charakter pewien uznany za pełen zalet w scenicznym rysunku, tam, tenże sam pozbawiony praw obywatelstwa w sztuce, i pochwały z tegoż powodu w pierwszem piśmie zostają unicestwione szykaną w drugiem. Czemu tu wierzyć? czyjem się kierować zdaniem, gdy panowie krytycy dowodzą ci czarno na białem, że będziesz kompletnym nieukiem, jeśli nie przyznasz, że sztuka nie ma żadnej wartości, i jednocześnie znów czarno na białem orzeka majestat drugi, że byłbyś bez znajomości najprostszych zasad sztuki, gdybyś utworowi temu nie oddawał zasłużonych oklasków.

Komisya konkursowa zeszłoroczna Warsz. popełniła omyłkę odznaczając tylko komedyę p. Zofji Meller p. t. „Fałszywe Blaski“ gdyż utwór ten zdaniem ogółu, zgodnego wyjątkowo tym razem z głosem krytyki, zasługiwał na pierwszą nagrodę. Od dawnego już czasu nie zdarzyło się nam widzieć na scenie tak zręcznego utworu oryginalnego pod względem pomysłu, obrobienia, dowcipu i zarówno artystycznej jak literackiej wartości. Pani Zofija Meller niejednokrotnie już występowała z pracami swemi na polu dramatycznem, ale ta ostatnia, wbrew tytułowi opromieniła jej talent nie *fałszywym* ale najprawdziwszym *blaskiem!* W ogóle literatura dramatyczna

rozwija się u nas w ostatnich czasach bardzo pomyślnie, a potknięcie się Offenbacha, którego „Most westchnień“ nie wytrzymał nawet trzech przedstawień i runął bez powstania dowodzi, że publiczność nasza sztuce krajowej nie odmówi pierwszeństwa jej przynależnego. Obiecują nam też wkrótce wystawić nową operę p. Müncheimera p. t. „Stradiota“ libretto pisał p. J. Jasiński, zasłużony pisarz dramatyczny, a p. Kazimierz Łuniewski przygotował już nowy dramat trzyaktowy p. t. „Do wyższych celów.“ Jest i wielu innych jeszcze młodszych pisarzy rzucających się na to niewdzięczne pole pracy dość sprytnie wyzyskiwanej. Materyałów zatem do podniesienia sztuki krajowej nie braknie i ta wznieśćby się mogła do tej wysokości, na jakiej u nas stanęła powieść przyswajana nawet w tłomaczeniach obcej literaturze. Idzie tylko o to, żeby publiczność była wyrozumialszą, a krytyka oględniejszą, nie pałaszującą nowości z pewnem niejako zadowoleniem. Gust nasz w utworach scenicznych wyrobiony szczególniej na sztukach francuzkich, cokolwiek spaczył się i wynarodowił. Co tylko nie brata się ze zręcznością i dowcipem francuzkich pisarzy, zdaje się nam nudnem, ckliwem i niesmacznem. Czasami zdarza się, że zarzut ten jest słusznym, nie ukrywajmy go ale przedstawmy z wyrozumowanem wyjaśnieniem, szczególniej tam gdzie pobłyski talentu są widoczne. Gdzie go nie ma, niech milczenie krytyki będzie jedyną jego oceną. Takie oględne postępowanie, talenta prawdziwe wzmagać będzie i podnosić, przywłaszczane strącać do nicości. Pomału gust publiczności zbliży się do nowych pomysłów, a nowi pisarze do jego wymagań, i z tego harmonijnego związku, rozkwitnie sztuka dramatyczna prawdziwie krajowa zajmując pierwsze miejsce a nie podrzędne jak to dotąd ma miejsce. Kraków nie odrazu zbudowano, powiada przysłowie, i sztuka dramatyczna dotąd w pętach trzymana temu samemu ulega prawu.

Dzielnym tu środkiem do podniesienia jej, mógłby być trzeci teatr stały o założenie którego dotąd się przedsiębiercy starannie krzątają. Pogłoskę o odmowie na jego założenie, Antrakt w osobie p. A. Niewiarowskiego doniósł z wielkiem zadowoleniem, dowodząc niestosowności oddawania go w ręce prywatnego przedsiębiercy. Czy p. Niewiarowski miał nadzieję zostania jednym z dyrektorów obu teatrów Warszawskich? Nie posądzamy go o tak samolubne cele, ale wystąpienie jego coś na to zakrawa. Tygodnik Illustrowany potrzebę założenia trzeciego teatru obszernie rozwinął, na wywody jego zupełnie zgadzamy się, oby zgodzili się i ci, od których to głównie zależy.

Nie tracąc nadziei że to z czasem musi nastąpić, tymczasem cieszymy się zapowiedzią nowego pisma, mającego od Nowego Roku wychodzić pod nazwą *Krytyk*, a więc wyłącznie krytyce poświęconego. Brakuje go nam oddawna, zapełni zatem miejsce dotąd otworem stojące, a choć peryodyczna literatura przysługuje się ocenami dzieł wychodzących, nie zaspakaja jednak wymagań czytającej publiczności jak to ma prawo żądać. Oby tylko nowi szermierze tak pożytecznej pracy, przejąwszy się ważnością zadania, nie lekceważyli jej i nie zapychali artykułami na prędce pisanemi, bez dokładnej znajomości przedmiotu krytykowanego i bez gruntownego poznania jego treści. Na niesumienność tej dorywczej krytyki, szczególniej pism tygodniowych, nieraz głos nasz podnosiliśmy. Niestety! nadaremnie.

Dla pociechy w tej smutnej listopadowej porze, straszącej już deszczem i śniegiem, flagą i mrozem, powtórzę tu wiadomość na wielką niespodziankę zakrawającą. Tak rzadko się z nią spotykamy, szczególniej pomyślną, że można ją ochrzcić nazwą białego kruka. Jest nim wykryty skarb... węgla kamiennego na przestrzeni jedenastu mil kwadratowych rozłożonych w powiecie Będzińskim i Olkuskim. Ogólna grubość pokładu w przecięciu ma wynosić około półpięta sążnia co według ścisłego obliczenia geologów i górników wyda blizko siedm milijardów korcy. Cóż to za ogromny zapas paliwa mogący wystarczyć na kilka wieków. Gdybyśmy tylko na złotówkę wartość jednego korca oznaczyli, to siedm milijardów jest przyrostem do bogactwa krajowego niezmiernej wagi. Cieszmy się zatem i miejmy nadzieję, że skarb tak wielki długo bezczynnym w ziemi spoczywać nie będzie.

Wrażenia z włóczęgi po obczyźnie.

Wyjeżdżałem z Wiednia. Na dworcu kolei północnej ruch był właściwy chwili, w której kilka setek podróżnych wybiera się w drogę w terminie ściśle oznaczonym. Przygotowany zupełnie przechadzałem się po przedsionku: powozy wypchane głowami ludzkiemi i pakunkami zajeżdżały co chwila, ruch się wzmagał, wrzawa rosła, trajkot pomnażał, a ze wszystkich stron wybiegały wywoływania posługaczy uwijających się pomiędzy rzeszą podróżników gubiących się i wyszukujących wzajemnie, w tłumie i zgiełku ogólnym.

Przed frontem dworca zajechał nowy powóz: siedziało trzy osób... nie! źle powiedziałem. Mieściło się w nim tuzin kufrów, tłomoczków i pudełek, a pomiędzy niemi jak główka kapusty i dwa maki polne wyglądały trzy głowy ludzkie, jedna dobrze szpakowata a dwie młodziutkie osłonięte starannie parasolikami. Cały pakunek był szczelnie ułożony; gdy powóz zatrzymał się nic w nim nie poruszyło się, tylko zachwiały się trzy głowy, parasoliki opadły, z piersi szpakowatego ozwało się silne westchnienie, i jedno z pudełek spadło na ziemię.

— Ach! ojcze, nasze kapelusze! zawołały obie po polsku panienki z niespokojnem poruszeniem.

W odpowiedzi jegomość szpakowaty syknął, i gruchnęły na ziemię torba z drugiem mniejszem pudełkiem.

— Nie kręćcie się, odezwał się ojciec, bo wszystko wyrzucicie na ziemię.

Posługacz przybyły pomógł wysiąść przybyłym: zaczęto wydobywać pakunki, obliczać je...

— Brak jeszcze jednego, zawołała jedna z panienek brunetka: było ich dziewięć wszystkich a jest tylko osiem.

— Zdaje mi się że osiem było, wszak prawda ojcze? zapytała druga, ciemna blondyna.

— Wiele było to nie wiem, odrzekł ojciec porządkując na sobie ubranie, ale z nami razem zdaje mi się że było sztuk dwanaście.

— A więc dziewięć pakunków.

— A gdzie mój woreczek z drobiazgami?

W odpowiedzi trzy głowy wyciągnęły się: przy koźle szukał woźnica, w powozie posługacz, zajrzano pod powóz, obok niego i po za nim, przerzucono znowu pakunki, woreczka ani śladu.

— Ot pociecha! mruknął ojciec muskając wąsy. A mówiłem, a prosiłem, a molestowałem, nie róbcie wiele pakunków bo pogubicie ot i proroctwo spełniło się.

— Ale to niepodobieństwo żeby zginął!

— Z mojej strony nic nie wyleciało.

— I z mojej to samo.

— Co prawda, odezwał się ojciec, jak raz stuknęło, o mało mnie samego nie wysadziło, ale żeby...

— Ach! przypominam sobie, przerwała brunetka, woreczek został w szafce w szufladzie...

— To niechże w niej spoczywa aż do naszego powrotu na rok przyszły...

— To nie może być ojcze, pomieściłam w nim wszystkie drobiazgi kupione na podarunki.

Rozpoczęła się gorąca rozprawa: panienki prosiły, ojciec się gniewał, niecierpliwił, wreszcie jak to zwykle bywa, ustąpił i gdy powóz unoszący go po odbiór zguby trajkotał po bruku wiedeńskim, panienki pod moją opieką zajęły się kupnem biletów i ekspedycyą pakunków.

Po drugiem dzwonieniu ojciec z torbą w ręku, rozmamany i zaziajany pokazał się w drzwiach wchodowych. Pobiegłem ku niemu i doprowadziłem do wagonu przez nas zajętego. Panienki ucałowały go z wielką serdecznością, starsza Brońcia brunetka zaczęła obcierać mu czoło, młodsza Jadwinia wachlować, ja zająłem się uporządkowaniem podręcznych pakunków, a ojciec gniewny sapał i nic nie mówił czasem tylko coś mruczał niewyraźnie. Obecność moja widocznie krępowała mu usta: gdyby nie to byłaby burza. Tą razą przechodziła jak dalekie warczenie grzmotów; ojciec wyglądał niby chmura wysuwająca się z nad horyzontu, panienki jak dwie różyczki czekające zguby z pierwszym wichru powiewem, a ja jak szczyt wyniosłej góry pewnej siebie, że chmurę odeprze i rozbije w puch gdyby nad kwiatkami zawisła.

Wreszcie chmura zaczęła się rozchodzić, promienie słoneczne tryskające z ócz panienek zrobiły swoje, oblicze ojca rozjaśniło się, zaigrał nawet na nim uśmiech zadowolenia że bieda skończyła się i odsuwając córki lekko od siebie rzekł:

— Otóż to jedna zawsze sprawa z kobietami: kłopotu po uszy, węzełków kopa, drobiazgów fura, nadskakuj, nadsługuj, wyręczaj, osłaniaj, a jak troska jaka, leć, biegaj na złamanie karku i potem zamknij usta choćby gniew palił cię i dusił.

— Gdy go łagodzą, odezwałem się, takie rączki i spojrzenia równie miłe i ujmujące...

— Otóż masz, przerwał pan M. z widocznem zadowoleniem. Zamiast spodziewanej pomocy z deszczu wlazłem pod rynnę, dość że kobiety muszą wszędzie zwyciężyć i uniewinnić się a ty stary cierp i bierz winę na siebie.

— Jeżeli opieka ma być w całej pełni wykonywaną, odezwałem się z równą żartobliwością, to wszystko co się dzieje spada na głównego opiekuna.

— Więc zapewne ja winienem, zawołał pan M. że woreczek w szafce został zapomniany?

— Cokolwiek.

— Czyżbyś pan był obrońcą emancypacyi kobiecej domagającej się wprowadzenia ich do parlamentu i głosowania?

— Po części jestem nim tylko z tą różnicą, że u nas nie ma ani parlamentu ani głosowania.

— Ważna przeszkoda i ta jak w tym razie cieszy mnie, bo dziś wodzeni za nos przez kobiety, przy parlamencie ciągnieni bylibyśmy za uszy jak osły do żłobu.

— Byłoby to naszą winą, dla czegoż jesteśmy tak słabi że własnym nosom nadajemy kierunek niezgodny z naszą wolą?

— To prawda mój panie obrońco, odrzekł p. M. i obejmując obie panienki przytulone do niego, mówił dalej: ale kiedy się ma przy sobie dwie takie szczebiotki, dwa ptaszki co umieją tylko smutnie spuszczać główki i kwilić, to jak tu nie poddać nosa choćby w niewolę tatarską.

— Prawda, prawda, potwierdziłem, ukochana ko-

bieta i kochająca to szczęście, gdy jej zabraknie w sercu i duszy tak straszna otwiera się pustka, taka boleść przenika całą istotę, że zdaje się iż się zostało rozdartym na dwie połowy, z których jedna cierpi i szuka drugiej. Pan M. pragnąc zapewne nadać zwrot inny rozmowie rzekł zacierając ręce:

— Gdybym miał teraz kubek żytniówki i kawał wędzonej kiełbasy...

— Są ojczulku, odezwały się obie panienki.

— Co, nie zapomniałyście? zawołał pan M. A niechże wam Bóg da zdrowie, to dopiero ucztę sobie sprawimy.

Kiedy panienki zajęły się przygotowaniem śniadania, p. M. wydobył nóż z grajcarkiem, odkorkował flaszkę, powąchał, potem pokręcił głową i nalewając w kubek rzekł:

— No, do was panie obrońco, a zdrowie młodych moich gospodyń, które zapominając woreczków w hotelu, pamiętały jednak o starym ojcu i jego rannym posiłku.

Napitek i przekąska przewybornie oddziałały: p. M. rozgadał się ciesząc się co chwila, że wraca do domu do poczciwej i kochanej żony, kłopoczącej się gospodarstwem i tęskniącej za podróżnikami.

— Zaszły takie okoliczności, mówił, że choć zdrowi jesteśmy jak ryby, musieliśmy siostrę moją odwiedzić w Rejchenhalu i zabawić u niej dwa tygodnie. Pierwszy to wyjazd nasz w obczyznę, pięknie tu co prawda, wszędzie czystość, porządek, wygoda nieznane u nas, ale bodaj w domu siedzić i nie wytknąć nosa nawet za granicę, swojej wioski.

— Nie zgadzam się na...

— Zaraz, zaraz wytłomaczę się, przerwał p. M. Dotąd zdawało mi się że piękniej nie jest nigdzie jak w mojej rodzinnej wiosce, teraz przekonałem się, że u mnie nędza w porównaniu z obczyzną. Prawda że mam dworek wygodny i okaźny, ale w kuchni, muszą być zawsze powybijane okna, przed wejściem kupy śmieci i strugi z pomyjami, na podwórzu barłóg, w otoczeniu parkanowem dziury, przy słupkach murowanych gruz, w ogrodzie szkoda, w płocie brak kołków, we wrotniach zawias, słowem wszędzie gdzie spojrzyć znać rękę co psuje, niszczy, zanieczyszcza, barłoży a nigdzie usiłowania, aby podnieść to co upada, podratować co się chyli, a zachować to co upięknia. W pierwszych chwilach mego gospodarstwa, chciałem ozdobiwszy siedzibę moją zupełnym porządkiem, zachować go w całej niepokalanej czystości, ale gdzie tam! Pilnowałem, łajałem, karałem, wreszcie znużyłem się, zniechęciłem, a w końcu przyzwyczaiłem się i barłóg, gruz, śmiecie, pomyje, szkody, dziury w płocie, stały mi się tak naturalnymi w dworskiem otoczeniu, że nie tylko nie raziły ale przeciwnie harmonizowały niejako z wewnętrznem mem usposobieniem. Gdziem rzucił okiem wszędzie to samo spostrzegłem: chałupy wiejskie, chlewy, obory, pływały w błocie i nieczystości: miasteczka pławiły się w brudzie i nieporządku; dwory obywatelskie niby okaźniej się przedstawiały, ale w każdem kąciku widziałem nieponia co psuł to co skrzętny starał się zaprowadzić, czy więc żyjąc w takiem otoczeniu miałem zostać białym krukiem. Niepodobna! otoczenie wrosło we mnie i stałem się wiernym jego przedstawicielem. Dziś zagranica otworzyła mi oczy i obudziła zarazem żal, że u nas tak być nie może. Gdybym zaś uparł się i postawić chciał na swojem, to musiałbym stu trzymać dozorców, aby strzegli każdej ręki co rwie, śmieci, psuje, barłoży, obija i szerzy pustkę jak Wandale ruinę. Oj! biedni jesteśmy mój panie, a w tem najbiedniejsi, że na biedę naszą nie ma rady.

— Wybaczcie ale nie potwierdzę waszego zdania, odezwałem się. Wszędzie gdzie dziś tak pięknie zagranicą, niegdyś była pustka: gdzie dziś mieszkają ludzie zachowujący porządek i cudzą własność szanujący, tam niegdyś mieszkali tak zwani barbarzyńcy. Obecnie wszystko zmianie uległo: ziemię i jej powierzchowność przekształciła praca, ludzi oświata.

— A toć przecie pracujemy, przerwał pan M. poruszając z niechęcią ręką, uczymy się, czytamy!

— Prawda, święta prawda, odrzekłem, ale tylko cząstką małą, na tysiące dającą się obliczyć. I cóż ona zdziałać może gdy otaczają ją milijony ciemne, pełne przesądów i zdrożnych nałogów zbliżających człowieka do zwierza? Aby społeczność dźwigała się rzeczywiście musi pracę wewnętrzną prowadzić całą swą zbiorowością, gdyż inaczej rozumnym braknie ludzi do pomocy i co dziś zrobią to jutro ciemni zepsują.

My właśnie jesteśmy w tem nieszczęśliwem położeniu: w górze jako tako, przynajmniej nie tak źle jakby chciano, ale na doie... aż strach spojrzyć.

— Ja też dałem za wygraną, odezwał się p. M. położyłem uszy przy sobie, przymknąłem oczy, przygarbiłem się i rzekłem: niech się dzieje wola Boża!

— Ja zaś, odrzekłem, powiedziałem sobie: kołacz, a będzie ci otworzonem! — i kołaczę wszędzie i gdzie tylko mogę a czy co wykołatam nie wiem, zostawiam to także woli Bożej, ale dopiero po spełnieniu obowiązku jaki każdego z nas obciąża.

— Hm! dobrze to mówić, mruknął p. M. kto się rzeczy własną ręką nie dotyka, ale gdybyś był w naszem położeniu, i na każdym kroku spotykał przeszkodę, rzuciłbyś wszystko na bok i zawołał: bierz dyable co twoje! Wreszcie aby ciemnice nasze rozjaśnić, to nie lat trzeba ale wieku całego...

— Tak jest, wieku, potwierdziłem, co wieki psuły wieki jedynie naprawić mogą. Te prace wieków najlepiej znać zagranicą na każdym przedmiocie pod oczy podpadającym. Wszędzie widać jak ten budynek ogólnej pomyślności wznosił się i rośnie, bez przerwy ale powolnie, niby ruń zasiewu darzącego plonem rolnika. W drugiej połowie wieku siedemnastego, w Anglji pełno było przyłogów i nieużytków, co krok spotykało się bagno lub trzęsawisko, na łąkach gospodarowały krety, w lasach wilki, najurodzajniejsze miejsca zajmowały bezużyteczne zarośla, na drogach grzęzły wozy z ciężarami, na mostach załamywali się podróżni, domy mieszkalne były do bud podobne, wioski do obozowisk, miasta do zbioru kletek cygańskich a ludność rolnicza bosa, obdarta i do połowy obnażona do dziczy indyjskiej. O przemyśle i handlu prawie nie mówiono, rzemiosła uprawiała nieudolna ręka, umiejącego czytać i pisać uważano za wysoko wykształconego, szkół było niewiele, szkółek prawie nigdzie, ale zabrano się do pracy i w sto lat później, Anglija stała się najludniejszym i najbogatszym krajem w Europie przodującym w oświacie i cywilizacyi. Ta pomyślność ogólna ciągle wzrastając, po upływie drugiego wieku przewagę tę jeszcze wzmocniła i mało co więcej jak po latach dwustu, z dziczy pierwiastkowej śladu nawet nie pozostało. Wprawdzie warunki wewnętrzne rozwojowi pomyślnemu wielce sprzyjały, ale i te warunki zdobyte były własnem wszystkich usiłowaniem. Słowem historya nas uczy, że do wszystkiego dobrego wolna niezmiernie prowadzi droga, nagłe przeskoki jak w naturze tak i w usiłowaniach ludzkich są niemożebne, kto nie zna liter czytać nigdy nie będzie, i wprzód jednostki muszą się ocknąć do działania, zanim cała społeczność poruszy się i choć jeden krok pójdzie naprzód.

— Zdaje mi się, odezwała się panna Bronisława, że u nas na jednostkach podobnych już nie brakuje.

— Bez wątpienia, odrzekłem, a nawet z pociechą przyznać należy, że u nas już nie jednostki w kierunku ogólnego dobra do działania poruszyły się, ale prawie cała klasa inteligentna: zbyt to jednak szczupła liczba aby praca jej wpływ widoczny na ogół zdziałać mogła. Gdzie milijony z założonemi stoją rękami tam tysiące niewiele znaczą. Społeczność to jak człowiek: jeśli pragnie działać pożytecznie, musi do czynności poruszyć cały swój umysł, obie ręce, nogi i oczy.

Umysł przedstawia tu garstka inteligentnych, czynniki pracy reszta społecznej rzeszy, cóż więc umysł zdziałać może dobrego gdy mu brakuje narzędzi przy roli, warsztacie, przemyśle i handlu, coby woli jego rozumnej zadość uczyniły? Przysparzać ich jak najwięcej przez oświatę, oto najważniejsze zadanie społeczne, gdzie tego nie zaniedbują tam społeczność wzrasta w pomyślność prawie cudownie. Stany amerykańskie najdzielniejszy dają tego przykład, dziś są już wzorem swego wewnętrznego urządzenia, a jeżeli nie wszystko dzieje się u nich jak dziać powinno, to nie winą ustroju społecznego tylko ułomnej natury ludzkiej i napływu coraz większej liczby przybyszów, najróżnorodniejszego w świecie usposobienia. Ta gmatwanina obyczajów, urządzeń i postępowania dziwi nas, czasem drażni a nawet fałszywe wytwarza opinije, ale mimo tego świat nowy pozostanie wzorem, jak po burzliwym oceanie życia płynąć należy o własnych siłach i bez narzuconej opieki, co siebie uważa za pasterza naganiającego trzodę kijem do porządku i posłuszeństwa.

Na podobnych rozmowach zeszła nam cała podróż jakby w bawialni w otoczeniu życzliwego grona.

Na przestankach głośno rozprawialiśmy z sobą po polsku: był to wyborny sposób odstraszenia nowych przybyszów cudzoziemców, unikających starannie towarzystwa do rozmowy z którem nie mogliby należyć. Swoboda nie opuszczała nas na chwilę, polubiliśmy się wzajemnie, nawet pokochali, żałując że w dalszem życiu podobno już się więcej nie spotkamy. Przy rozstaniu na dworcu kolei galicyjskiej w D. już po za Krakowem, pan M. ucałował mnie serdecznie, panienki wyciągnęły rączki z największą życzliwością oświadczając, że na rok przyszły zapraszają mnie do rodzicielskiego domu, w którym znajdę czystość, ład i porządek jakiemi się dość nacieszyć nie mogły zagranicą.

— A jeżeli obie panie, odrzekłem, wyfruniecie z gniazdeczka aby we własnej siedzibie zajaśnić szczęściem domowego pożycia?

— To w takim razie, odrzekły, odwiedzisz nas wszystkich koleją i odbędziemy naradę co robić dalej, aby jak najwięcej dobrego z obczyzny przyswoić. Przyrzekłem, ale czy dotrzymać zdołam? Rok czasu ileż to zmian sprowadzić może.

Kiedym wysiadł z wagonu, na dworcu kolejowym tak było ciemno, że chybiwszy nogą, runąłem jak długi w tył się przewracając. Panienki krzyknęły, posługacz dźwigający torbę podróżną, zawołał: o! la Boga! a pan M. groźnym wykrzykiem wyłajał służbę kolejową za brak światła tak niezbędnego. Nie stłukłem się jednak zbyt boleśnie, zerwawszy się szybko ze śmiechem pożegnałem miłe moje towarzystwo, dodając na pociechę, że ziemia ojczysta choć trochę niegościnnem obdarzyła mnie przyjęciem, ale miała widocznie wzgląd na stare moje kości, bo je czuję całe i nawet nie stłuczone. W tej chwili pociąg ruszył, w oknie wagonu pokazały się jeszcze trzy głowy, ozwały się życzenia szczęśliwej podróży i zostałem sam z posługaczem wiodącym mnie do sali pasażerskiej.

— Pan zapewne dalej pojedzie, dyliżansem do T? zapytał mnie szwajcar kolejowy odbierając bilet na przebytą jazdę.

— A tak, dyliżansem, odrzekłem.

— To już ja zajmę się wszystkiem i przyniosę bilet do sali pasażerskiej.

— A kiedy dyliżans odchodzi w drogę?

— O w pół do szóstej rano.

Spojrzałem na zegarek, była punkt dwunasta, sama północ, pięć zatem przeszło godzin miałem pozostać na dworcu kolejowym, sam nie wiedząc co z sobą robić.

— Powiedziano mi, odezwałem się markotny, że odchód dyliżansu zastosowany jest do pociągu kolei jak to bywa na całym świecie.

— A! tu jest tak, odrzekł szwajcar, ale za półtory godziny przyjdzie drugi pociąg z Krakowa a za cztery trzeci z drugiej strony, więc dyliżans czeka aż się zbiorą podróżni ze wszystkich trzech pociągów.

— A niechże cię Bóg kocha! pomyślałem sobie, a ja pośpiesznym cugiem leciałem jak opętany, żeby się nie spóźnić na odejście dyliżansu. Wprawdzie wypytywałem się w Krakowie na głównym pocztamcie, ale mnie nie umiano objaśnić, zapewniając tylko, że dyliżans z pewnością do nadchodzącego pociągu jest zastosowany.

W sali pasażerskiej po czesku wybornie nazwanej *czekalnią*, zastałem dwóch podróżnych; jeden oparty na ręku drzymał przy jednym stole, a drugi wyciągnął się na twardej ławie marząc zapewne o wygodnem łóżku w domu. Za stołem bufetowym kelner we fraku i z kołnierzykami pod uszy dochodzącemi, spał tak smacznie na kanapie, że byłem pewny iż go nie przebudzą nawet trąby sądu ostatecznego. Omyliłem się jednak: samo zbliżenie się do stołu zerwało go na równe nogi, ale biedak spojrzał, przetarł oczy i buchnął na sofę zasypiając jednocześnie jakby się z boku na bok przerzucił. Nie miałem serca roztrzeźwiać go, był młodym, prawie młodzieniaszkiem, jak tu więc nie spać, gdy północ i zapewne nie pierwsza noc czuwania!

Obejrzałem wszystkie kąty, sienie, korytarze, podwórza, wszędzie cisza jak makiem zasiał, tylko tu coś chrapało, tam westchnęło, tu poruszyło się a tam stuknęło, ale człowieka ani śladu. Lampa się pali, zegar cyka, gwiazdy błyszczą, co tu robić? Przechadzam się, nudno: myślę, smutkiem napełnia się dusza; bębnię palcami po stole, muzyka jakoś nie składa się: dalej więc na ławę, torbę pod głowę.... ani podobna! Głowa wygina się jakby na wyłamanie, kości trzeszczą, boki bolą, poprawiam się, przesuwam, biorę do pomocy okrywkę, paletot, urządzam się jak mogę, wreszcie czuję że z godzinę zdołam przeleżyć, gdy w tem zatrajkotało. Był to dyliżans przybywający z podróżnikami do kolei, i za pięć godzin wracający do T. zkąd przybył. Rozpoczęło się zatem wchodzenie podróżnych, wnoszenie pakunków, drzwiami trzaskanie, głośne rozmawianie, łajanie: kelner się zerwał na równe nogi, wstałem i ja ze swego madejowego łoża. I znowu tłukę się po różnych dziurach jak Marek po piekle.

— Panie! ozwał się głos posługacza spiesznie biegnący za mną. Niech pan siada, bo dyliżans już odchodzi.

— Co, już odchodzi? zapytałem ucieszony.

— Tak panie, zaraz odchodzi.

Pospieszam zatem, wynoszą ze mną manatki, otwierają drzwi karety, dwóch mi usługuje, pakuje im po dziesięć centów do ręki. Jeden się krzywi i powiada że mało, bo chodził po kwit na pocztę: drugi patrzy na pieniądz i na mnie ale datek chowa. Dodaję im po cztery centy choć nie wiem za co właściwie, w karecie nikogo nie ma, rozsadzam się jak mogę i ruszamy.

(d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

(Dokończenie).

Po tem krótkiem wspomnieniu o ś. p. Bielowskim zapisujemy drugą stratę, jaką poniosła nasza literatura. Przed kilku tygodniami umarł tu młody powieściopisarz Paulin Święcicki, który znany był pod pseudonimem Paulina Stachurskiego: przed 11 laty przybył do Lwowa i rozpoczął tutaj swoją karyerę literacką współpracownictwem przy *Dzienniku Literackim*, który wówczas był jedynym poważnym organem ruchu literackiego, a przeszłością swoją, pełną świetnych tradycyi, zjednał sobie powszechną sympatyę, choć szczupłe grono abonentów zapowiadało mu bliski upadek finansowy. Ś. p. Paulin Święcicki drukował w tem piśmie pierwszą powieść większych rozmiarów pod tytułem: *Przed laty*. Nie wielu pisarzy nawet niepospolicie utalentowanych, może się poszczycić tak szczęśliwym debiutem jak ś. p. Święcicki. Powieść *Przed laty* była czytaną z wielkiem zajęciem, bo tryskała z niej prawda, wyborna charakterystyka i podnioślejszy nastrój poetycki. Tą jedną powieścią zdobył sobie Święcicki taki rozgłos, na jaki pisarze średniego talentu długo i mozolnie pracować muszą. Wkrótce potem pojawiły się dalsze utwory powieściowe ś. p. Święcickiego ale w nich autor był już mniej szczęśliwy. Zaraz druga jego powieść *Trójka* rozczarowała poniekąd czytelników pewną ekscentrycznością w założeniu i wykonaniu tematu, a nadto zaniedbaniem w charakterystyce. Jak pierwsza powieść jednała pismu, które ją drukowało wielu nowych czytelników, tak druga wywoływała nawet pewne reklamacye. W licznych późniejszych utworach powieściowych ś. p. Święcicki nie mógł już stanąć tak wysoko jak w pierwszym, widocznie zaszła w jego talencie i wyobraźni zmiana fatalna, może stosunkami przykremi zupełnie usprawiedliwić się dająca. Tylko wielka pracowitość i łatwość pisania nie opuszczały nigdy ś. p. Święcickiego. Pisał wiele rzeczy oryginalnych, tłomaczył powieści rosyjskie i redagował kilka pism efemerycznych. Jeżeli zawód powieściopisarski tak pięknie rozpoczęty nie ochronił ś. p. Święcickiego od przykrych stosunków, wśród których przebywali nowicyat literacki prawie wszyscy pisarze galicyjscy starszej i młodszej generacyi, to zawód redaktorski musiał bardzo zgubnie wpłynąć na talent ś. p. Święcickiego. Był to bowiem wtedy zawód tak niewdzięczny, że zaprawdę późniejsze pokolenia będą kiedyś podziwiać każdego, kto miał odwagę wydawać i redagować jakie pismo literackie w ostatnim dziesięcioletnim okresie czasu. Pisma redagowane przez ś. p. Stachurskiego upadały jedne po drugiem, a żadnemu szczupła liczba abonentów nie pozwalała nawet przetrwać jednego roku. Prawda, że było to wydawnictwo nieświetne, zapełniane artykułami, które w większej części musiał pisać sam redaktor pod naciskiem prasy dla wypełnienia kolumn, ale mimo to wszystko ś. p. Święcicki mógł liczyć na większe powodzenie i miał słuszny powód do żalu w obec obojętnej publiczności. Po nieszczęśliwem redaktorstwie osłabła płodność ś. p. Święcickiego, chociaż w świeżej i niespokojnej fantazyi snuł się pewnie nie jeden temat oryginalny i ciekawy. Biedny autor musiał się oglądnąć za jakiemś zajęciem, któreby mu zapewnić mogło pewniejszą egzystencyą. Oddał się profesurze w gimnazyalnych szkołach i na tej posadzie wytrwał do końca, a kto wie, czy właśnie tutaj nie nabawił się choroby piersiowej, która położyła kres ciężkiej walce o chleb w 35 roku życia. W ostatnich latach ś. p. Święcicki oddał się dramatycznej literaturze i brał udział w dwóch konkursach: krakowskim i warszawskim. Na obu konkursach utwory jego *Marta Posadnica* i *Stanisław Igorowicz*, chociaż nie otrzymały nagrody, odznaczyły się niepospolitemi zaletami, z których przebijał się talent wyższy, mogący kiedyś stanąć wysoko w naszej literaturze dramatycznej. Przed samym zgonem wykończył ś. p. Święcicki trzeci utwór dramatyczny, który wdowa w myśl ostatniej woli autora odesłać ma na konkurs poznański. Szczegóły z życia ś. p. Paulina Święcickiego są mało znane. Powtarzamy tylko tyle, że urodził się w roku 1841 w Warszycy, powiatu Machnowieckiego w gubernji Kijowskiej. Początkowe wykształcenie otrzymał w domu, a potem uczęszczał do szkół publicznych w Kamieńcu, zkąd później przeniósł się do uniwersytetu Kijowskiego. Zawsze z wielkiem zamiłowaniem oddawał się nauce języków słowiańskich i badał zwyczaje ludu wiejskiego. To też powieści jego na tle ludowem osnute tchną wielką prawdą i świeżą oryginalnością. Pozostało nawet po ś. p. Święcickim kilka rozpraw lingwistycznych i szkiców powieściowych, napisanych w ludowem narzeczu ukraińskiem.

W szczupłym zastępie współczesnych utalentowanych powieściopisarzy śmierć ś. p. Święcickiego sprawia lukę bardzo dotkliwą. Niemałą zatem radość sprawiać powinno czytającej publiczności odezwanie się jednego z najsympatyczniejszych powieściopisarzy. Mamy tu na myśli A. Wilczyńskiego, który po długiem, bardzo długiem milczeniu przypomina się szeregiem miłych powiastek humorystycznych, drukowanych w fejletonie jednego z pism tutejszych. Najznakomitsza powieść tego autora „*Kłopoty starego komendanta*“ należy do rzędu rzadkich powieści które chętnie czyta się po raz drugi i trzeci w niedługich odstępach czasu. Jest to tajemniczy urok naturalnego humoru, którym zaprawiona jest cała akcya powieściowa i charakterystyka każdej postaci tchnącej przytem taką prawdą życia, jaką dziś rzadko kiedy spotkać można w teraźniejszych powieściach oryginalnych. Taka jedna powieść zapewnia autorowi piękniejsze stanowisko i trwalszą pamięć, aniżeli tuzin ramot fabrykowanych z pośpiechem dla zapełnienia głodnych łamów tak wysoko rozwiniętej obecnie prasy literackiej. Powiastki, któremi obecnie przypomina się A. Wilczyński, są krótkie ale w każdej spotkać się można z zaletami, które tak wielki rozgłos zjednały „*Kłopotom starego komendanta*.“ Autor umie chwytać i żywcem przenosić w ramy powieściowe owe ciekawe typy, które snują się koło nas tak często, prawie proszą się do humoresek a mimo to tak rzadko znajdujemy malarza z bystrością spostrzegawczą i zdolnością udatnego charakteryzowania. Pospolitemi efektami, gmatwaniną wyszukanej intrygi i innemi zużytemi sztuczkami pisarskiemi nigdy nie posługuje się A. Wilczyński. Tem większą jest jego zasługa, że bez tego wszystkiego skromna i naturalna akcya jego powieści humorystycznych mile zajmuje uwagę czytelnika od początku do końca.

Przyjemną nowością księgarską jest drugie wydanie dzieła prof. Lucyana Tatomira: *Geografija Galicyi*. Chociaż książka ta nie jest szkolną i tylko poleconą została szkołom przez krajową radę szkolną, mimo to w stosunkowo, zwłaszcza jak nasze stosunki, bardzo krótkim czasie rozkupiono cały pierwszy nakład i umożliwiono drugie wydanie w jeszcze wyższej liczbie egzemplarzy. Sam ten fakt chlubnie świadczy o wartości dzieła, ale ponieważ w ostatnich czasach nie zawsze zaszczyt ten trafiał książki, które nań zasługiwały, więc dodajmy, że Geografija p. Lucyana Tatomira jest rzeczywiście książką wyborną i że za taką uznano ją już od dawna w kołach, dla których ona w pierwszym rzędzie jest przeznaczoną. Autor umie traktować przedmiot w sposób ujmujący

czytelnika, a jest to zaleta niepospolita, bo geografija uchodzi u nas za przedmiot bardzo suchy i niepojętny właśnie dla tego, że nie posiadamy dzieł geograficznych z wyższym talentem napisanych. Niektóre działy książki p. Tatomira czyta się z takiem zajęciem jak obrazek powieściowy, bo autor umiał schwycić i zręcznie ugrupować właśnie te szczegóły które nietylko nadają książce barwę charakterystyczną lecz także przemawiają żywiej do wyobraźni czytelnika. Pierwsze wydanie *Geografji Galicyi* stanowiło pierwszy tom obszernego dzieła p. t. *Skarbniczka rzeczy polskich*. W tej Skarbniczce zamierzał autor pomieścić także treściwe kompendyum dziejów Polski i historyę literatury. Skończyło się jednak tylko na dwóch tomach zawierających Geografiję i jeden okres dziejów Polski. Mówimy: skończyło się, chociaż tego nie powiedział ani autor ani wydawca (księgarz Karol Wild). Ale jakżeż można oczekiwać kontynuacyi dzieła po przerwie kilku lat, gdy już sami czytelnicy oswoili się z tem, że cały projekt został zaniechany. A wielka szkoda że o tym projekcie zapomniał i autor i wydawca. Był on przed laty bardzo sympatyczny, bo wtedy nie posiadaliśmy jeszcze tylu podręczników o historyi literatury polskiej, ile ich teraz posiadamy. Nadto nazwisko autora zalecało wydawnictwo w najszerszych kołach czytelniczych. Mniemamy, że jeszcze i dziś nie należy wątpić o powodzeniu, jeżeliby tylko autor i wydawca z równą energiją przystąpili do przerwanej pracy i pośpiechem powetowali dotychczasową zwłokę.

B. Ł.

ZBIORY DREZDEŃSKIE.

Opisał S.

4. Muzeum historyczne w Zwingerze.

Zbiór ten znajduje się w prawem skrzydle pałacu, zwanego Zwingerem, który zawiera także galeryą obrazów, muzeum etnograficzne i inne. W dziewięciu salach, umieszczono tu zabytki średniowieczne i z XVIII wieku, przeważnie saskie i niemieckie; dla tego nie zapuszczając się w szczegóły, które w znacznej ilości mogłyby być dla naszych czytelników obojętnymi, wspomnę o tych tylko przedmiotach, które są ciekawe pod względem ogólnie-historycznym lub też mają wagę dla nas mianowicie pamiątkową.

W pierwszej sali mieszczą się wyroby i zabytki z XVI i XVII wieku, przeważnie norymbergskie i augsburgskie. Zasługują na uwagę: stół w kształcie groty (Trinktisch) z puharami ze szkła malowanego, rzeźbione z drzewa cyprysowego, płaskorzeźby z tegoż drzewa, przedstawiające polowanie, dawne portrety, zegar w kształcie słonia (godziny kornak wybębnia) i t. d. Jeden z najdawniejszych zegarków kieszonkowych — tak zwane jajko norymbergskie — gruby i ciężki ma kształt wielkościanu; bogate, olbrzymie puhary Lutra świadczą wymownie, że ten ex-mnich chętnie zapominał o ślubie ubóstwa i bynajmniej nie był ascetą ani anachoretą.

W drugiej i trzeciej salach znajdują się pamiątki i zabytki historyczne saskie: sprzęty, przybory myśliwskie, broń i odzież rozmaitych saskich elektorów. Pomiędzy obuwiem znakomitych ludzi znalazły się także... pantofle filozofa Kanta!

W dalszych salach mieszczą się przeważnie rynsztunki i zbroje średniowieczne, stalowe, bronzowe i srebrne, niektóre pysznego wyrobu i bogato złocone; zasługują na uwagę średniowieczne kusze, hakownice i niezmierna ilość wszelkiego rodzaju broni, rozwieszona na ścianach. Pomiędzy zbrojami osób historycznych, znajduje się tu zbroja Sobieskiego z pod Wiednia, wspaniałe złocone pancerze książąt Sabaudzkich, Augusta II i t. d. Szeregi konnych rycerzy w zupełnem uzbrojeniu, giermków i paziów ciągną się po obu stronach kilku sal, przypominając zbiorem i bogactwem zbiory tak zwane ambrazyjskie w Wiedniu.

W jednej z sal pomniejszych rozpięto czerwony złotem tkany namiot, przez Sobieskiego pod Wiedniem zdobyty; wszystka znajdująca się w tej sali broń turecka pochodzi wyłącznie z tej wyprawy, podarowana przez Jana III Niemcom. Sic vos non vobis (tak wy pracujecie nie dla siebie)... Nie przeszkodziło to jednak autorowi katalogu zaznaczyć, że wszystek ten łup zdobyty został pod Wiedniem przez „zwycięzkich Sasów" (siegreiche Sachsen). Jest tu także broń Karola XII, Gustawa Adolfa i Napoleona. Z pamiątek po tym ostatnim wskazują jeszcze: siodło aksamitne, trzewiki koronacyjne, krzesła obozowe, buty które miał w bitwie pod Dreznem 1813 r., (czyżby miał uciec bez butów?) i maskę pośmiertną. Jest tu także trójgraniasty filcowy kapelusz Piotra I i podkowa przez Augusta II na dwoje przełamana. Końskie rynsztunki tego ostatniego, wzbudzają podziw wspaniałością i przepychem: rumaki używane przezeń do sanek i przy koronacyi w Krakowie jaśnieją blaskiem drogich kamieni; jakże skromnie odbija przy nich prosty przybór konia koronacyjnego, którego używał Leszczyński i którego model znajduje się tutaj także. Straszliwe miecze katowskie wzbudzają grozę; podobnież miecze zakrzywione chłopów z okresu wojen chłopskich w Niemczech; jeden z nich, a mianowicie miecz samego dowódzcy Tomasza Münzera, opatrzony jest na klindze runami, które, według katalogu, mają być kalendarzem. Ztąd widać, że jeszcze w XVI wieku używano w Niemczech pisma runicznego i że miecz był czasem dla wojownika tem, co dla nas pugilares. Miecz używany przez Augustów przy koronacyi w Krakowie, może być, oczywiście, tylko późniejszą imitacyą słynnego szczerbca.

W ogólności muzeum historyczne przedstawia dla badacza i artysty bogatą kopalnię studyów, z której też wielu korzysta, gdyż uczeni i artyści mają wstęp wolny. Sposób prowadzenia wojny w wiekach średnich, odzież, sprzęty domowe, igrzyska wojenne (turnieje) i t. d. sokolnictwo, polowanie, wszystko to dokładnie da się tu zbadać. Ilość broni i rynsztunków wynosi 20,000, nie licząc innych zabytków, których będzie także z parę tysięcy.

Pominięto w niniejszym opisie najgłośniejsze z muzeów drezdeńskich, galeryą obrazów, poczęści dla tego, że słynny zbiór ten już wielokrotnie był opisywanym (u nas przez Rautenstrauchową i Kraszewskiego), poczęści zaś z tego powodu, że opis tych obrazów, nie przez malarza specyalistę dokonany, bardzo łatwo mógłby przybrać cechy suchego katalogu.

Przegląd literacki.

Świstki Sylena, pozbierała Etcetera Bomba. Także Meandry. Poznań 1876.

Jest to zbiór poezyi, które częściowo były drukowane w rozmaitych pismach z podpisem Felicyana. Autor przypisuje swoje utwory Sylenowi — istocie bajecznej mytologii greckiej, który jest „bydlę i bóg w jednej skórze." W wierszu wstępnym mówi także poeta, że takich sylenów nie brak na świecie: „Ja z temi memi przyrodami dwiema, jestem ty, on, wy lub oni". Wierszyk ten charakteryzuje niejako ducha utworów i pogląd poety: nie jest on bynajmniej optymistą; owszem rad upatruje złe strony ludzi i „naturę bydlęcą", a traktuje ją humorystycznie, niekiedy nawet ze zjadliwym żółciowym sarkazmem. Dla tego muza Sylena różni się od seraficznych zachwytów młodej rzeszy poetów; nie ma w niej ubóstwienia ludzkości ani niezachwianej wiary w ideały; co więcej, nie ma tam także bólu i cierpienia, jakiemi zwykle napawa poetę widok złego i nieprawości: poeta obojętnie bawi się śmiesznościami i złem, sarkazm jego jest lekki i wesoły. Że jednak i pod tą powłoką w rzekomej pogoni za śmiechem i złośliwej radości, wykrywającej ciemne strony ludzi, kryje się tęsknota do ideału; że i pod płaszczykiem obojętnego napozór śmiechu ukrywa się jęk bólu; że na dnie tej czary pieniącej się żartobliwą ironią spoczywa gorycz zawodu i rozczarowania a więc protestacya przeciwko złemu — o tem i mówić byłoby rzeczą zbyteczną. Poeta zręcznie tylko zamaskował te swoje wyższe pragnienia, jakby w przekonaniu, że na seryo, otwarcie i wyraźnie, wzdychać przed ludźmi niewarto — niewarto rozsypywać perły w błoto. Rozmaicie można sądzić o takim kierunku autora, który choć nie jest pesymizmem, ale ma wszystkie jego pozory; co do nas, dla tego właśnie że pojmujemy pozorność tego pesymizmu, a przesadę w ubóstwieniu ludzkości uważalibyśmy za pozbawioną podstawy, nie możemy potępić ducha i kierunku „Świstków Sylena".

Przedmiotów do swych wierszyków szuka poeta po całym obszarze dziejów ludzkości i przytem przedmiotów najczęściej ujemnych, upoważniających do ironji i szyderstwa. Dowcip i werwa autora, który jest obecnie jednym z niewielu, przechowujących iskrę prawdziwego talentu poetyckiego, oddawna są znane. Poeta umie lekko, niby po wierzchu muskając swój przedmiot, sięgać szerokimi zarysami aż do jego głębi; umiejętnie wynajduje i zestawia przeciwieństwa i umie tak zakończyć każdy niemal utwór, że i myśl jawna wierszyka i myśl ukryta występują w całem świetle, stanowiąc przy tem to, co nazywano dawniej *ostrzem* podobnego rodzaju utworów.

Wspomniemy tu o kilku najudatniejszych świstkach. *Obol Belizarowy* (drukowany poprzednio w Kronice Rodzinnej) wystawia smutne dziś losy Poezyi. Zubożała i zgłodniała Poezya szuka przytułku i błaga o jałmużnę, przypominając kolejno, że była niegdyś wielką panią, królową i boginią, ale otrzymuje w odpowiedzi postępowe komunały o demokracyi i modnym ateizmie; dopiero gdy oświadczyła, że była niegdyś piękną, uzyskała przychylniejszą odpowiedź:

Piękna? i żebrzesz? A! to ciebie szkoda.
Zanim źli ludzie spostrzegą,
Wejdź, wejdź. No prawda, choć nie bardzo młoda,
Jesteś ty jeszcze niczego.

Prześliczny obrazek „Królowa Nofreari", na ziemi klasycznego Egiptu umiejscowiony (był także umieszczony w Kronice) jest jakby rozpaczliwym protestem przeciwko nieubłaganej konieczności śmierci. Królowa

pragnęła zawsze umrzeć młodo
i stało się jak chciała.

Chcąc więc spocząć w ustroni tajemniczej, udaje się tam, gdzie

Ponad piaszczystych wydm posuchą
Skrada się Simun blady,
Pomiędzy dwa szumiące głucho
Nilowe wodospady.
. . . .

Tam kiedy weszła, myśl skrzydlata,
Dziwnie jej twarz uświęci
Bowiem nie czuła już do świata
Ni żalu, ani chęci.
Więc, jako brzmieniem strun lutnisty
Powietrze płynąc wzdycha,
Ona w swej szacie powłóczystej
Poważna szła i cicha.
I tylko zdjęła u zwierciadła
Przepaskę złotą z głowy,
Poczem się senna, drżąc układła
W sarkofag porfirowy.

Strofki te, z wszelką słusznością, możemy uważać za prawdziwe perełki poezyi spółczesnej.

Z obrazka „*Taniec Śmierci*“, którego myśl odgadnąć nietrudno, przytoczymy trzy ostatnie zwrotki.

Śmierć tańczy mimo Suchych dni i postu —
Zda się, że skręcić chce szyję...
Zkąd jej wesołość taka? At, po prostu,
Cieszy się sobie, że żyje.
O głupi człecze! Cóż ci za dziwota?
Czyliż inaczej tu bywa?
Toćże umiera wielkość, zbrodnia, cnota,
Śmierć tylko sama jest żywa.
. . . .
Słowem że wszystko, co się troszczy, zginie,
A ona wiecznie wesoła,
Przeżyje wreszcie dyabła i jedynie
Boga przeczekać nie zdoła.

W wierszyku *Danae* z nieporównanym dowcipem autor kreśli znane podanie o złotym deszczu; kończy zaś następującą zjadliwą strofką, zawierającą odpowiedź Danai na żądanie Junony, aby jej Jowisza albo złoto zwróciła:

Chętnie, odpowie zmoknięta niepotem —
Lecz cóż — gdy niema sposobu:
Nie wiem już, który Bogiem, który złotem —
Więc muszę zatrzymać obu.

Z wiersza p. n. „*Prawo pięści*“ oto zakończenie:

Jak ci z kolei kości kto połamie,
Wtedy i tobie przyklasną.

Wierszyk p. n. *Hero i Leander*, udatny formą i jaśniejący dowcipem, bodaj że przebiera już miarę w nielitościwem szyderstwie z pięknego, bądź co bądź rysu poświęcenia się kochanków, uwiecznionego w tradycyi.

Jeden z najcelniejszych świstków *Pogrzeb Ibisa*, po pełnym dowcipu i humoru w szydzeniu przesądów ludzkich, kończy się następującym czterowierszem:

Kto chce świat czyścić i być wiele wartym,
Niech w błocie brnie po kolana.
Dan w tysiąc ośmset sześćdziesiątym czwartym
Przed przyjściem Chrystusa Pana.

W utworze *Grób Alaryka* rzymianka Akwila, którą chcą razem z wodzem pogrzebać, ażeby uniknąć tego miłego losu, radaby „módz całe płakać go życie“; to znowu, gdy to niepomogło zapewnia, że nie kochała Alaryka, lecz go owszem nienawidziła; wszystko daremno.

W wierszykach *Zakładanie Rzymu* i *Incitatus* poeta drwi z historycznych kolei i dążeń ludzkości. Ten ostatni utwór, poświęcony pamięci konia, którego szalony pan świata Kaligula zrobił był konsulem, kończy się następującemi zwrotkami:

Bo zważcie — podczas gdy ród koński hula,
Z góry swej pewien obrony,
Ludźmi tymczasem rządził Kaligula,
Sam przez Mnestera rządzony.
Ci wyrzekali? Ale rzecz to znana
Która nikogo nie dziwi...
Czemuż nie jedli owsa albo siana —
Mogli być całkiem szczęśliwi!

Prześliczny wierszyk p. n. *Baucis i Filemon* wolny jest całkiem od szyderstwa i ironji: jest to przedziwny żartobliwy obrazek.

Wierszyk „Z wełnianego jarmarku“, umieszczony przed kilkoma miesiącami w Kuryerze Warszawskim i który wtedy wywołał w naszej prasie oburzenie, godne lepszej sprawy, wyśmiewa, w gruncie rzeczy, przesadę w strojach i powierzchownych manierach kobiet Wymieniliśmy wszystkie, podług naszego zdania, celniejsze „świstki“. Inne mniej mają zalet, a urywki, nazwane przez autora *Meandrami* są najsłabsze: wyrażają one myśli dość powszednie, stylem często ciemnym.

Że Felicyan włada dobrze językiem i bywa niekiedy mistrzem formy, rzecz to oddawna znana. Wszelako czasami dla wiersza lub przez pośpiech poświęca jasność wymagania stylowe, a niekiedy i poprawność języka: niemiło nam wyznać, że takich usterek ilość dość znaczna. Oto przykłady: „lud... *czcił* nieznane *tęsknoty*“ (u autora wszędzie *tęschnoty* str. 15); „ze *stron obu stał* u ściany Sfinks“ (tamże); „w groźnym wzroku twoim *tkwiąc* spojrzenie, Ona ci spełnić coś każe“ (str. 28); „z nogami *spowiniętemi*“ (str. 30); „*bluźniąc* swą *dolę przeklętą* (str. 35); „kiedy jej wiatr nie *kolebie*“ (str. 46); „*większą* mu dałem *połowę*“ (str. 56); „*więcej* ode mnie *bogaty*“ (tamże); „*pieśni brzmiąc* ponure... wodza spuszczono już zwłoki (str. 61); „*zową*“ (str. 64); była królową, bo ją z całej zgrai najniżej *opadła* szata“ (str. 90); „oczy twe, prawda, coraz *czerwoniawsze* (str. 104). Trafiają się także wiersze, pozbawione miary wierszowej np. „Kiedy drzwi odemknięto“ (str. 15); znajdujemy przy końcu wiersza zaimek *które* (str. 19); niemile brzmi np. taki wiersz „szczękę mu rozbił na szczęty“ (str. 33), a wyszukaną przesadą tchną następujące: „*Świetli* się tkanka perłowych przezroczy. *W tęcze* i *w przemoc* promieni (str. 43). Już to licencya poetycka była po wszystkie czasy, niebezpieczną pokusą i łatwo prowadzi do nadużyć, od których piękne wiersze Felicyana radzibyśmy widzieć wolnymi. *W.*

NOWE WYDAWNICTWA.

Loteryjka z historyi naturalnej wyszła na widok publiczny i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po rs. 1 za egzemplarz. Jest ona ułożona na sposób zwykłej loteryjki z tą tylko różnicą, że na tabliczkach grającym zwykle rozdawanych, obok numeru znajdują się jeszcze całkowite wyobrażenia rozmaitych zwierząt, ptaków, ryb, gadów a nawet i roślin niektórych. Ogłaszający więc wyciągnięte losy, nie ogłasza numerów, ale nazwiska zwierząt, które grający wyszukawszy na posiadanej tabliczce, przykrywa. Kto pierwszy zakryje całą tabliczkę, ten wygrywa, dla pewności jednak każdy wymienia numer znajdujący się przy rysunku zwierzęcia, a ciągnący losy porównywa go z numerem na losie pomieszczonym. Jest to nowość jako zabawka bardzo zajmująca: bawią się nią nietylko młoda dziatwa ale i starsze osoby nabierając wyobrażenia o postaci różnych stworzeń zaledwie znanych z nazwiska. Przy nazwie zwierzęcia na losach znajduje się jeszcze wiadomość do jakiej należy gromady, rzędu i gatunku, którą zdaniem naszem dałoby się pożyteczniej zastąpić krótkim opisem samego zwierzęcia i pożytku lub szkody jaki człowiekowi przynosi. Przy nowem wydawnictwie, które jesteśmy przekonani że wkrótce nastąpi, radzimy zmianę tę zaprowadzić.

Nad modrym Dunajem, nowella przez B. B. wyszła nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie i może być nabytą w Warszawie we wszystkich księgarniach.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, nabożeństwo rzymsko-katolickie z różnych dzieł duchownych zebrane przez T. Ł., wyszło w Wilnie drukiem Józefa Zawadzkiego i sprzedaje się po kop. 30 za egzemplarz. Cena rzeczywiście bardzo umiarkowana, zwłaszcza że cała książka jest dość gruba, papier nieprzebijający i druk wyraźny większem pismem uskuteczniony.

Józefa Ungra kalendarz illustrowany na rok zwyczajny 1877 wyszedł z druku i może być nabywany we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych. Cena kop. 50.

Dziennik na r. 1877. Jest to książeczka twardo i dość ozdobnie oprawna z ołówkiem do zapisywania na kartkach oddzielnych, z których każda po jednej stronie, na dwa dni przedzielone od siebie linijką jest przeznaczona. Służy zatem na rok cały. Cena egz. kop. 30.

Kalendarz ścienny na rok 1877 do zawieszenia na ścianie, obejmuje tylko sam kalendarz i zmiany księżyca. Odbity na grubej tekturze sprzedaje się po kop. 15.

Tak Dziennik jak i Kalendarz ścienny wydane są nakładem firmy Józefa Ungra i sprzedają się również we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorowi ze znakiem ?. Nadesłane wierszyki p. t. „Trzy zapytania“ i „z Życia,“ nie są pozbawione pewnych zalet, ale forma ich nie odpowiada w zupełności wymaganym warunkom i myśli niektóre w nich zbyt znane i powszednie.

Przyjaciela Dzieci Nr 46 wyszedł z druku i zawiera:

Opowiadania starca. — Krzaczek róży (wiersz). — Krótki rys historyi zewnętrznej Rzymu. — Malajczycy (z drzeworytami). — Różyczka. — Z wiadomości bieżących. — w Dodatku: Na dworskim chlebie.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

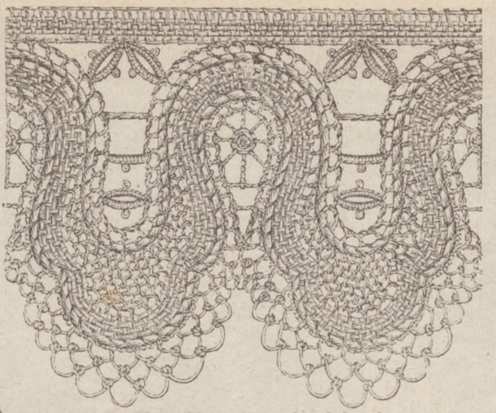
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 7 Октября (26 Ноября) 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.

Opis do N. 45.

(Dokończenie).

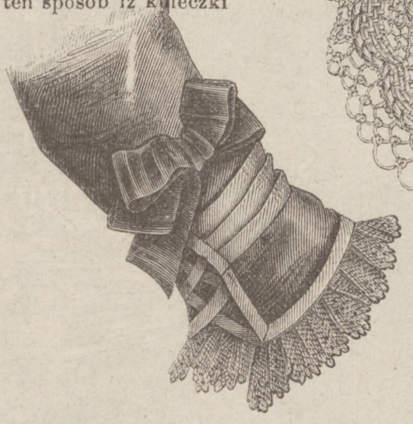
Szalową formę białej włóczkowej chusteczki łatwo można podług wzoru dopasować z pomocą podanej miary. Długość wynosi 200 centymetrów, szerokość środkowa 44, forma nad czołem jest trochę w ząb, a końce skośnie zwężone. Włóczkę białą nawija się na ramię i wiąże pelą białą a następnie przecina w ten sposób iż kuleczki spłaszczone stanowią całe tło. Ten sposób wiązania opisywaliśmy już w Tygodniku i jest on powszechnie znany. Szeroka frendzla jest siatkowa zakończona kuleczkami; ząb z przodu oszyty jest podwójnym rzędem ściśle dawanych kulek. Na zębie układa się rozetę z siatki zaczętej na grubym drucie na o. 300 i obrobionej 8—10 razy, ostatnie obrobienie z obydwóch brzegów jest pelowe.. Siatkę marszczy się przez środek.



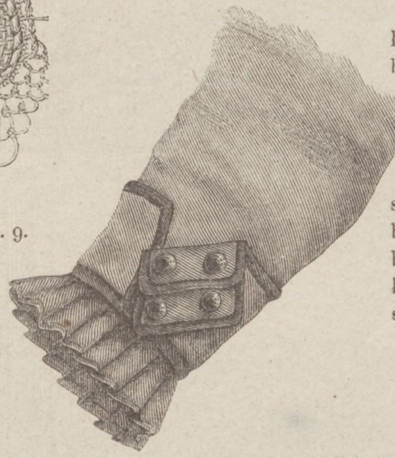
N. 1. Koronka irlandzka do ryc. 9. w N. 45.



N. 2. Ząbki szydełkowe.



N. 3. Rękaw od sukni zakończony mankietem.



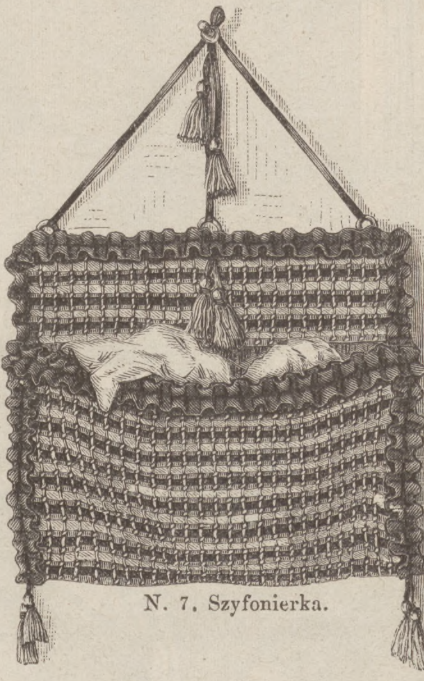
N. 4. Rękaw z odkładanemi klapkami.



N. 5. Vêtement bez rękawów, do ryc. 16.



N. 6. Sukienka dla dziewczynki. Przód do ryc. 24.



N. 7. Szyfonierka.

N. 18—19. Narożniki z kratką wyciąganą, do serwetki ryc. 9.

N. 20. Krzesło dziecinne składane. Haft łańcuszkowy, kordonkiem do cieniu.

Postument krzesła jest drewniany, czarno politurowany, pokrycie odrabia się na podwójnie złożonym kolorowym wełnianym atłasie kordonkami do cieniu. Brzegi oszywa się grubym sznurem wełnianym a z boków jeszcze frendzlą. Deseń arabeskowy łatwo można przerobić podług narożnika N. 2, na arkuszu z deseniami, albo odrysować podług ryc. 20; w tym ostatnim arabeski wyszywa się łańcuszkiem a muszki haftem płaskim.

N. 21. Kaftaniczek ciepły dla dziecka, robiony na drutach.

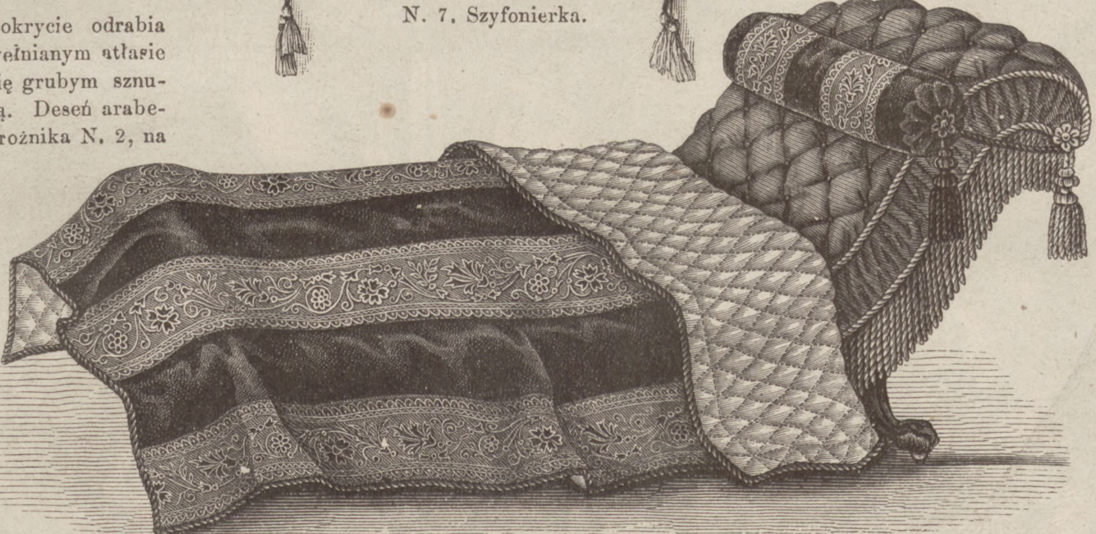
Z białej miękkiej wełny albo włóczki kaftaniczek robi się na dość grubych drutach w podłuż, oddzielnie przód i dwie połowy pleców, a następnie części spajają się z lewej strony. Na dzień kaftaniczek kładzie się pod sukienkę. Ścieg w paski gładkie i kręte nie potrzebuje opisu.

N. 22—23. Stanik z baskiną dla dziewczynki lat 7—9. Krój na dodatku N. VI Fig. 23—27.

Stanik z długą baskiną z tyłu na guziczki zapinany może być u dołu i przy mankietach oszyty podwójną wypustką jak na ryc. 22, albo 3 do 4 razy przestębnowany jak na ryc. 23 maleńkie guziczki naszyte w sposób wskazany, stanowią przybranie stanika. Model sukienki był z ciemno-popielatego materyału, guziczki czarne dżetowe lub szmuklerskie.

N. 24. Kamizelka męzka z szalowem kołnierzem. Krój N. IV Fig. 16—18.

Forma ta może zarówno służyć do kamizelki białej pikowej jak i do sukiennej. Pod przody daje się podszewkę z szyrtyngu, pół płótna lub t. p., a prócz tego u dołu, pod guziki i dziurki listewki 4—5 cent. szerokie z tego co wierzch materyału. Małe zaszewki z przodu oznaczone na Fig. 16, dają się oddzielnie w wierzchu i podszewce, a następnie gładko przyprasowują. Kieszonki wszywają się pomiędzy wierzch i podszewkę, a otwór przecina się tylko w wierzchu i przykrywa patką 1—2 cent. szeroką. Plecy z materyału podszewki kraje się podwójnie; krzyżyk i kropka oznaczają przyszycie patek ze sprzączką. Wierzch i podszewkę szalowego kołnierza kraje się skośnie, przyczem z wie-



N. 8. Szeslong, kołdra i wałek pod głowę. Patrz ryc. 9 i Fig. 36—37.



N. 9. Pas wyszyty łańcuszkiem, do kołdry ryc. 8.



N. 10—27. Ubrania na lekcye tańca dla dzieci, także spacerowe i wizytowe dla starszych osób.

N. 10—11. Sukienka formą princesse z wyciętym stanikiem.

N. 12. Sukienka ze stanikiem pod szyję. Patrz ryc. 22.

N. 13. Ubranie dla chłopca. Patrz ryc. 27.

N. 14. Sukienka z vêtement skośnie zapiętem.

N. 15. Suknia zdobna frendzlą.

N. 16 Sukienka z vêtement bez rękawów.

N. 17. Ubranie dla chłopczyka lat 2—3.

N. 18. Suknia zdobna kokardami.

N. 19. Sukienka ze stanikiem z tyłu zapinanym.

N. 20. Suknia z bluzkowym stanikiem. Krój w dodatku N. V, Fig. 1 i 2.

N. 21. Suknia aksamitna zdobna pasmanteryą.

N. 22. Sukienka formą princesse. Patrz ryc. 12.

N. 23. Sukienka z vêtement wyciętem.

N. 24. Sukienka z baskiną przeciętą, dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 6.

N. 25. Suknia z tuniką ułożoną beduinowo. Patrz ryc. 46.

N. 26. Ubranie dla starszego chłopca.

N. 27. Ubranie dla chłopczyka.

rzchu od strony szwa dodaje się 2—3 cent., następnie brzegi zewnętrzne są gładko dopasowane i z podszewką ostębnowane, a przy górnym wykroju podszewkę przyszywa się drobnym, obrąbkowym ściegiem do wierzchu ka-



N. 28. Płaszczyk z pelerynką, dla dzieci lat 2—4. Patrz ryc. 29.

mizelki, a wierzch wystający kołnierza zachodzi wewnątrz na podszewkę. Nakoniec obrabia się starannie dziurki i przyszywa guziki. Bardzo ważną rzeczą w użyciu kamizelki jest umiejętne i dobre zaprasowanie.

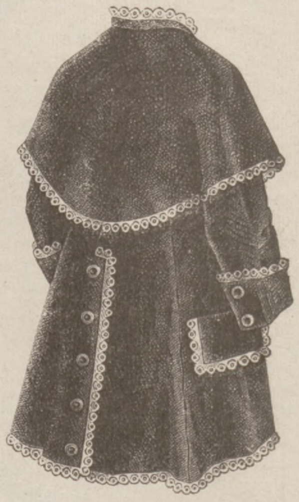
N. 25—27. Koszula damska dzienna, zapinana na ramionach. Krój N. III Fig. 14—15.

Fig. 14 podaje górną szerokość pleców i przodu koszuli już po przymarszczeniu i zaszyciu zakładek, w kroju więc trzeba przy środkowem złożeniu 15 cent. dodać. Model koszuli miał od wykroju pachy 96 cent. długości a 98—100 dolnej szerokości. Zakładki w środku przodu odstępem $1\frac{1}{4}$ cent. rozdzielone, są stopniowo skracane (od 17—5 centymetrów) a dalej luźno puszczone jak to widać na ryc. 25. Ryc. 26 podaje w naturalnej wielkości próbkę zakładek i szlaku haftowanego. Przy plecach zmarszczki rozdzielają się równo od krzyżyków do środka wykroju. Rękawki są na ramionach zapinane na guziczki, a wykrój gór-



N. 30. Kwadrat do serwet, poduszeczek i t. p.

ny stanu objęty jest paskiem $\frac{3}{4}$ cent. szerokim, pomiędzy któren wszywa się szlaczek haftowany; zwierzchni pasek zdobi wyszycie ściegiem cierniowym albo muszki. Inny garnirunek do koszu-



N. 29. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 28. Krój w dodatku N. VII Fig. 28—29.

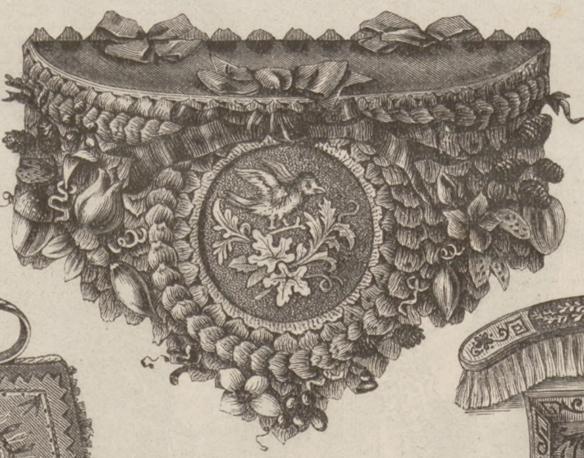
li podajemy na ryc. 27.

N. 28. Kapelusz filcowy obłożony futrem.

Przy kokardach aksamitnych duża sprzączka metalowa skrzydełko przypięte różą.

N. 29. Kapelusz z brązowego aksamitu ubrany takiemiż kokardami, kwiatami i liśćmi jesiennemi.

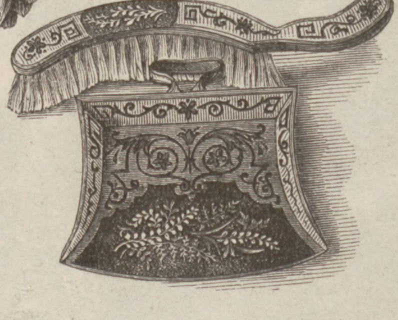
(dok. nast.)



N. 31. Szyfonierka. Mozajka leśna.



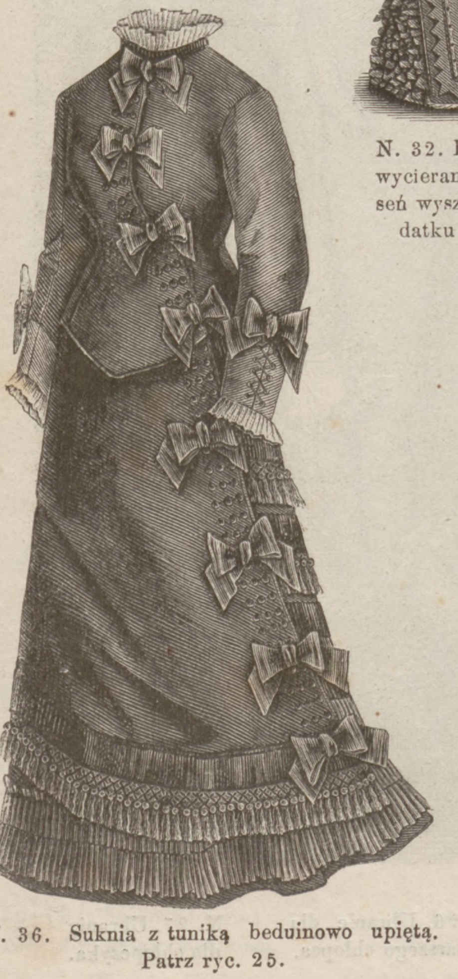
N. 32. Przyrząd do wycierania piór. Deseń wyszycia w dodatku Fig. 41.



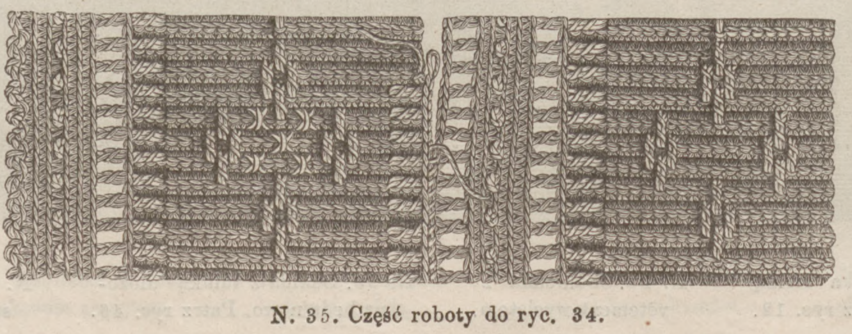
N. 33. Szczotka i szufelka. Patrz Fig. 38—40 w dodatku.



N. 34. Woreczek do robót, na drobiazgi, i t. p.



N. 36. Suknia z tuniką beduinowo upiętą. Patrz ryc. 25.



N. 35. Część roboty do ryc. 34.



N. 37. Suknia wieczorowa.